

Redliński na Greenpoincie

Nasze złudzenia bywają niebezpieczne. Dobrze, gdy w porę ktoś nam otworzy oczy. Czasem robi to teatr. Sztuka ma bowiem tę właściwość, że wyrastając z marzeń człowieka nie tylko tworzy mity, ale też, gdy twórca patrzy przenikliwie, bezpardonowo je obala.

Jednym z takich mitów pożerających wyobraźnię Polaków jest mit Ameryki. Że król jest nagi, uświadamia nam ostatnia sztuka Edwarda Redlińskiego „Cud na Greenpoincie” wystawiona w Teatrze na Woli.

Autor, który sam spędził siedem lat w Nowym Jorku, wiedziony instynktem doświadczonego wygi rozprawia się z pozornymi wartościami. Na kilku metrach kwadratowych sceny pokazuje wielki śmietnik świata wabiący nadzieją wyrzutków i naiwnych.

Sztuka Redlińskiego pisana jest z bólem, bez błahego tonu, bez efektownej anegdoty, jaką znajdowaliśmy



Zdjęcie: ZYGMUNT RYTKA

„Cud na Greenpoincie” rozprawia się z pozornymi wartościami

dotąd w scenicznych produkcjach na temat marzeń o Ameryce. Skazani na mizериę egzystencji bohaterowie to kilku rozbitków z Polski. Zwabieni obrazkami z Hollywood czekają na cud. Ale cudu nie będzie.

Impresaryjny teatr pod kierownictwem Bogdana Augustyniaka, tu także reżysera przedstawienia, skompletował zespół, który na ogół radzi sobie z materią sztuki. Na jego tle wyróżnia się Leon Charewicz siłą i prawdą kreacji. Henryk Boukołowski w roli profesora nieudacznika przypomina w kilku scenach swoje niegdysiejsze możliwości. Niezła w rodzajowej roli Joanna Kurowska częściej bawi, niż wydobywa drugie dno swojej bohaterki. Jedyne poważniejsze zastrzeżenie to nie wygrany finał.



Zdjęcie: STEFAN OKOŁOWICZ

Bulhakow o Molerze

„Zmowa świętoszków” Michaiła Bulhakowa, ostatni spektakl Teatru Powszechnego w reżyserii Jana Englerta, prowokuje do kolejnych refleksji, jak dalece nasze wyobrażenia rozmiągają się z rzeczywistością.

Wprawdzie na ogół przyjmujemy do wiadomości, że droga do panteonu sławy nie jest usłana różami, ale cena, jaką płaci twórca za to, by zaistnieć – napawa nas niekiedy zdumieniem. Ci, którzy imponowali odwagą bijąc w możnych tego świata, demaskując ich obłudę, pustkę i żądzę sławy, sami pochlebstwami zabiegali o ich łaski.

„Zmowa świętoszków” ukazuje ostatnie lata życia Moliera. Na scenie rozgrywa się dramat twórcy ograniczanego przez wrogą mu koterię kleru, kaprysy chimerycznego króla, zarazem dramat starzejącego się człowieka zakochanego w niewiernej Armandzie, wreszcie dramat pełnego wyrzutów sumienia nielojalnego kochanka porzucającego po latach niemłodą już Magdalenę Bėjart. W duszy piekło zmysłów i ambicji, na twarzy maska kaboty, który nie odróżnia życia od teatru.

Z przedstawienia trudno dociec, któremu z tych problemów dał prymat reżyser. Akcentując z jednakową mocą liczne rozterki bohatera nie wygrał chyba tego, co kosztowało go najwięcej: ceny upokorzenia.

Przestawienie nie wciąga z taką mocą, na jaką zasługuje wysiłek realizatorów. Często świetny Mariusz Benoit tym razem nie ułatwia odpowiedzi na pytanie, kim naprawdę był wielki Molier. Urzekają natomiast pogłębioną interpretacją roli Władysław Kowalski i Ewa Dałkowska, swoistym ciepłem Tomasz Sapryk.

Harwood za i przeciw

Widzom, którzy w teatrze szukają przede wszystkim dialogu i próby

odpowiedzi na dręczące ich pytania, warto polecić spektakl w teatrze Ateneum „Za i przeciw” Ronalda Harwooda. Znakomicie zagrana sztuka znanego z błyskotliwie prowadzonej akcji autora, by wymienić choćby „Garderobianego”, to także rodzaj konfrontacji mity z rzeczywistością.

Ów mit to wielkiego formatu artysta, który w zderzeniu z ideologią faszystowską nie zdał egzaminu jako człowiek. I jak każdy dopisuje ideologię do swojej postaci. Światowej sławy dyrygent niemiecki, Wilhelm Furtwängler, postać autentyczna, rzuca jednak na kolana słuchaczy swoich koncertów tak dalece, że skłonni są wybaczyć cenę, jaką płaci wybitny muzyk za występy w niemieckiej Rzeszy.

Ową ceną jest fraternizacja ze zbrodniarzami nazistowskiego reżimu. W myśl przekonania bowiem, że człowiek jest w losie świata epizodem, a sztuka wartością nieprzemijającą, zawarłby pakt nawet z diabłem, byle ją uprawiać.



„Za i przeciw” to rodzaj konfrontacji mity z rzeczywistością

Może dlatego sympatię widzów budzi znakomita w wykonaniu Leonarda Pietraszaka postać amerykańskiego majora Arnolda, którego nie przekonuje piękno Beethovenowskiej frazy, gdy stoi za nią ludzka tragedia. Gustaw Holoubek wzbudza jak zawsze respekt klasą swego aktorstwa, ale czy sam jest przekonany do argumentów pysznego pięknoducha? Świetnie prowadzone są też role pozostałych aktorów, zwłaszcza Magdaleny Wójcik i Mariana Kociniaka. Pozostaje żałować, że reżyser spektaklu, a zarazem dyrektor Ateneum Janusz Warmiński tak rzadko bierze do ręki batutę dyrygencką.

HANNA KAROLAK